

Lektor na procentach

Na każdą część „Gwiezdných wojen” czekałem z niecierpliwością. Nie pchałem się na premierę, bo mnóstwo ludzi i trudno o dobre miejsce, ale po tygodniu, dwóch przychodził w końcu ten dzień. Ostatni odcinek drugiej serii wypadł w niewygodnym momencie. Obudziłem się z ręką w nocniku i szukałem ostatnich seansów.

Maciej Stryjecki

Moja wina, nie sprawdziłem. Kiedy skończyły się reklamy i popłynęły pierwsze takty muzyki Williamsa, dostałem obuchem w czerep. Dubbing. Walczyłem dzielnie, ale krótko. Rzuciłem ręcznik po 10 minutach. I w ten sposób premiera odbyła się u mnie w domu, kiedy film trafił na DVD. Tłumaczyłem sobie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: tańszy wyszynk, dźwięk z mojego systemu lepszy, no i jakby przyszło dorobić napojów – jest pauza. Mimo wszystko, nauczyłem się jednego. Aby zawsze dwa razy sprawdzić, na jaką wersję trafię. Ulubiony zestaw to napisy i 2D (jakoś trójwymiarowy obraz przestał mnie kręcić). I chyba tak już zostanie.

Dubbing to standard przyjęty na całym globie. W telewizjach francuskich, niemieckich, hiszpańskich, na wszystkich kontynentach (podobno robili go też na Atlantydzie i dlatego zatoneła). Napisy też, choć w telewizji rzadziej, ze względu na mniejsze ekrany i konieczność koncentracji uwagi. Nie da się oglądać Bonda, czytać i jednocześnie gawędzić ze znajomymi o sukcesach ich dzieci. Jak świat szeroki, wszędzie ścieżkę dźwiękową robi się od podstaw, zatrudniając do tego gromadę aktorów. To drogi i pracochłonny proces. Sam brałem w nim udział, śpiewając w chórkach do disneyowskich bajek. Te ostatnie zresztą idealnie współgrają z dubbingiem, a polskie produkcje stoją na najwyższym poziomie.

Należy założyć, że filmy fabularne obsługują równie dobrzy fachowcy. Mimo to, w obrazach przeznaczonych dla dorosłej widowni efekt jest przeważnie nie do zniesienia (pomijając wyjątki, jak „Asteriks” i dzieła sztuki, godne Oscara, jak polski dubbing do serialu „Ja, Klaudiusz”). Z czego to wynika? Z przyzwyczajenia? Z tego, że nawet nie znając języka, znamy głosy aktorów? Równie sztucznie wyglądają dla nas filmy w telewizji, dajmy na to, francuskiej. Widzimy Harrisona Forda czy Clinta Eastwooda

i „parlowanie” pasuje do nich, jak szczekanie do kota. Widzowie o słabszych nerwach powinni uważać, bo jak zobaczą terminatora Arnolda Schwarzeneggera mówiącego po czesku, ze śmiechu mogą się udławić popcornem. Co innego – po niemiecku. Od razu robi się groźny. Ale już Darth Vader wydający rozkazy w języku Goethego może się bardzo niepolitycznie skojarzyć. Żeby nie było: Amerykanów dubbingi śmieszają tak samo jak nas. Zwłaszcza te francuskie.

Takim samym szokiem dla reszty świata jest nasz swojski lektor. I pewnie też może dać kawał uciechy. Wyobrażam sobie, jak bawi w scenach erotycznych Francuza czy Niemca. Tymczasem dla Polaków to normalka. Co więcej, badania statystyczne przeprowadzane przez stacje telewizyjne wskazują, że Polacy uwielbiają lektora. Od kilkunastu lat ponad połowa wybiera właśnie jego, zamiast napisów i dubbingu. Przyzwyczajenie? Po części tak, ale stosunkowo świeże, bo jako dominujący standard TVP przyjęła go dopiero w latach 80. Stacje komercyjne nawet nie starały się wyłamać z kanonu. W przypadku nośników (VHS, DVD, BD) to także pozycja obowiązkowa w „sound options”. Tymczasem poza Polską lektora można spotkać w krajach nadbałtyckich i... Mongolii. Gdzie indziej to rzadkość, zarezerwowana dla filmów dokumentalnych i przyrodniczych. Sama praktyka pochodzi jeszcze z ZSRR i do dziś jest szeroko rozpowszechniona w krajach „byłych”, czyli obecnej Rosji, Ukrainie, Białorusi, ale tam wygląda to inaczej. Pojedynczego facecika (kobiety rzadziej parają się tym fachem) zastępuje „zespół mały, ale zgrany”, od dwóch do czterech osób, czytających dialogi z podziałem na role. Co ciekawe, panuje tu polityczna poprawność i parytet. W kwartecie zwykle występują: mężczyzna, kobieta, chłopiec i dziewczynka. Taki rodzaj ścieżki nazywa się „szeptanką wielogłosową”. Dla Rosjan to telewizyjna codzienność, a dla

nas? Powiem ogólnie: brzmi to ciekawie, ale wolę już chyba dubbing. Zapewne młodsze pokolenia Rosjan też, bo ten drugi coraz częściej zastępuje szeptankę.

Wygląda na to, że jak tak dalej pójdzie, to zostaniemy z lektorem, jak – nie przymierzając – Himilbach z angielskim. Ale jakoś mnie to nie przeraża. Lubimy lektora, a opracowanie ścieżki jest nawet 10-krotnie tańsze i szybsze niż dubbingu. Oczywiście, to musi być fachowiec z najwyższej półki. Ale mamy takich mistrzów. Potrafią podać tekst z czytelnością kryształu i jednocześnie pozostać w tle, nie zwracając na siebie uwagi. Bo nie ma chyba nic gorszego niż lektor emocjonalnie zaangażowany lub ze „szlacheckim «er»”. Jest w takiej ścieżce coś wyjątkowego. Pozostawia nam brzmienie oryginału, aktorom ich emocje, a warstwę tekstu daje w postaci „napisów dźwiękowych”. Chętnie bym też przywitał lektora w kinie, bo jednak czytanie odwraca uwagę od akcji, a ekran duży. Oczywiście wiem, że: „trzeba się było języków uczyć”, ale nic na to nie poradzę. Nie potrafię myśleć inaczej niż po polsku.

Wady „szeptanki jednogłosowej” są oczywiście. Przede wszystkim jedna: lektor wymusza ściszenie oryginalnej ścieżki nawet do 30 %, co jest spowodowane ograniczeniami telewizorów z kiepskimi głośnikami. Cierpi na tym głównie muzyka i dźwięki otoczenia. I tu mam pewną myśl racjonalizatorską. Skoro sprzęt grający i świecący wyposaża się w coraz większą ilość funkcji, proponuję jeszcze jedną. Nie znam się na technologii, ale można ją wprowadzić do amplitunerów (tfu!), dekodery TV i innego, podobnego stuffu, nie wspominając o konieczności implementacji na etapie udźwiękowienia filmu. Jak ją nazwać? „Regulowany lektor”? Wrodzona skromność podpowiada mi coś w stylu „funkcji Stryjeckiego”, ale nie będę się upierać. Wolałbym skromny procencik od zysku producentów filmów oraz gratów. Niechby tylko na polski rynek.

Funkcja ta polegałaby na regulacji stosunku głośności ścieżek: oryginalnej i lektora. Dajmy na to, od 99:1 do 1:99. Najlepiej płynnie, w czasie odtwarzania/oglądania. Każdy sobie ustawi, jak chce i jak mu ucho pozwala. Czuję, że na początek sporo użytkowników zrezygnowałoby z napisów. A w przyszłości, kto wie? Może lektor (nie tylko regulowany) przyjąłby się jako polska specjalność za granicą, jak pierogi i bigos?

Nie słyszałem nigdy o podobnym pomysle, więc jeżeli pojawi się w praktyce, będzie to oznaczać, że ktoś przeczytał ten tekst i wprowadził w życie. A czy podzieli się symbolicznym procencikiem? O tym z pewnością doniosę na łamach.